

LOTERIA

Napisała: Małgorzata Brejnak

Byłem na dużym placu targowym. Spacerowałem wśród kłębowiska ludzi i masy towarów zalegających stragany. Migały mi w oczach kolorowe ubrania, buty, psy, koty, a także książki, stare meble itd. Było chyba wszystko, o czym można pomyśleć, chociaż z jednym wyjątkiem. Chodziłem po tym jarmarku dość długo, lecz nigdzie nie widziałem specyfiku od bólu głowy, tak zwanej węzowej maści. Ostatnio miewałem często bóle, a zwykle proszki nie pomagały mi zlikwidować go, „– To kłopoty w pracy, stresy” – myślałem, rozglądając się uważnie, czy gdzieś nie zobaczę małego, błękitnego pudełeczka, ale na próżno.

Południowy skwar trzeciego dnia czerwca zalewał cały plac i dawał się wszystkim we znaki. Ludzie wycierali chustkami pot z twarzy i wypijali mnóstwo napojów, jednak handel szedł na całego.

– Panie, buty sportowe, piękne. W sam raz dla pana! – usłyszałem głos za sobą, ale nie odpowiedziałem nic, brnąc dalej w tej kolorowej masie ludzi.

– Zegarki, zegarki stare i najnowsze! – dochodziły czyjeś słowa z daleka i mieszały się z ogólnym gwarem.

Byłem już porządnie zmęczony, gdy dobrnąłem w nieco spokojniejszy zakątek jarmarku i tu właśnie usłyszałem:

– Medykamenty, olejki, eliksir na wszystko!

– Może panu coś zaoferować? – zazgrzytał jakiś lekko ironiczny głos.

Na ziemi siedział dziwny, stary człowiek. Jego wygląd odstraszał, ale oczy badawczo i zjadliwie wpatrywały się w moją twarz. W rękach trzymał starą walizeczkę. Skóra była na niej stara i odrapaną, jakby przeszła

wszystkie dziejowe burze. „– Co też takiego może mi zaoferować ten człowiek?” – zdziwiłem się i z ciekawości przykucnąłem naprzeciw niego. Jego ręce szybko otworzyły walizeczkę i zobaczyłem mnóstwo flakoników z różnymi proszkami, buteleczek z płynem, a w rogu stertę błękitnych pudełeczek.

– To są cuda! Elixiry szczęścia, młodości, życia! – skrzeczał z ironią, zachwalając swój towar.

Ta ironia powodowała, że humorystycznie i wręcz w przenośni rozumiałem jego słowa.

– Dla pana to będzie dobre – powiedział i wskazał na pudełeczka „– Skąd u licha on wiedział?” – byłem zaskoczony, przecież nie powiedziałem mu jeszcze, co chcę kupić.

– Proszę sobie wybrać, za dwa biorę taniej – ciągnął zjadliwie.

Zanurzyłem rękę w stercie z pudełkami.

– To los, to loteria szczęścia, za dwa taniej – słyszałem dziwny szept starca.

„– Też, jakiś wariat chyba” – pomyślałem zaskoczony tym wszystkim. Wyciągnąłem dwa identyczne pudełeczka, zapłaciłem starcowi dwa dolary i udałem się do domu na Besson Street.

W swoim ciasnym mieszkanku włączyłem telewizor na trzynasty kanał i siedząc w fotelu czekałem na wyniki cotygodniowej Wielkiej Loterii. Byłem stałym graczem, bo lubiłem lekki hazard. Może chciałem się ludzi, że skreślę 10 prawidłowych liczb i wygram główną nagrodę. Ale niestety, tym razem również moje nadzieje i marzenia rozwiały się. Byłem okrutnie zawiedziony, bolała mnie głowa. W złości podarłem kupony Loterii i wrzuciłem je do popielniczki. Nalałem sobie drinka, zapaliłem nędznego papierosa i wyciągnąłem z kieszeni błękitne pude-

leczko. Maść była dziwna. Wyglądało tak, jakby pudełeczko było puste, ale pod palcem czułem miękkość i lepkość zawartej w nim substancji. Przewroczyłam maść, jak powietrze? Coś niesłychanego, nigdy czegoś takiego nie widziałem! Moje zdumienie rosło. Ciekawość działania takiego specyfiku wysmarowałem na skronie pół zawartości pudełeczka i wtedy wszystko pojaśniało. Niesłychana jasność zalała pokój i mnie. Z przerażeniem stwierdziłem, że ściany oddalają się ode mnie w szybkim tempie, że są daleko i już ich nie widzę. Trząsnęłam się cała ze strachu, bo czułam, że rozplątam się i oddalam za tymi ścianami gdzieś w nicość. W pustce, która mnie otoczyła, zobaczyłem migające błękitnawym światłem małe pudełeczko, na dnie którego widniał napis: „do przodu”.

Ocknąłem się w tym fotelu przed telewizorem. Na stoliku leżał kupon Wielkiej Loterii z dziesięcioma prawidłowo skreślonymi liczbami.

– To niemożliwe! Jak to, przecież podarłem, przecież... – wołałem.

Spojrzałem na kupon, był z datą 10 czerwca! Elektroniczny datownik również pokazywał tę datę. Radio, telewizja nawet gazeta podawały 10 czerwca. „– Co się stało? Przecież był trzeci, przecież nie wygrałem. To wszystko to jakiś absurd. Może zwariowałem” – kołatały mi się myśli w głowie. Na próżno usiłowałem sobie wytłumaczyć to wszystko. Nie mogłem znaleźć żadnego rozwiązania tej zagadki. A w ręku trzymałem mały skrawek papieru, który był wart milion dolarów!

To, co się stało później, szybko pozwoliło mi zapomnieć o ciasnej klitce na Besson Street i o całym tym zdarzeniu. Byłem jednym z najbogatszych ludzi kraju, a może i całego kontynentu. Najbogatszy, a więc szanowany, doceniany, wręcz podziwiany. Byłem innym człowiekiem, jakby nowo narodzone. Obracałem się w świecie ludzi interesu. Miałem wille w Nowym Jorku urządzone w najnowocześniejszym stylu. Dom pod palmami na Florydzie z basenem w kształcie pięknej kobiety i z kortem tenisowym. Pięć samochodów w tym białego Mercedesa i Lancię Super-Sport z pięcioma osobistymi kierowcami do dyspozycji. Poza tym byłem właścicielem dochodowego kasyna gry w Acapulco, hotelu, restauracji w Miami i wspaniałej stadniny koni wyścigowych. „–

Tak, bezsprzecznie byłem gigantem finansowym. Już na samym początku pochłonięłam małą firmę domowych komputerów, w której kiedyś pracowałem i której szef tak uparcie mnie denerwował i wpędzał w stresy. Było to dla mnie coś w rodzaju bezkrawej zemsty na tym człowieku, kiedy wykupiłem tą całą firmę stając się jej jedynym właścicielem. Zmodernizowałem ją do tego stopnia, że zaczęła przynosić niezły dochód rocznie.

Jednakże największe zyski czerpałem z potężnego koncernu, którego byłem pomysłodawcą, twórcą i właścicielem. Był to SPECYFIKS. Kilkanaście firm i kilkanaście zakładów razem zrzeszonych i współpracujących ze sobą produkowało perfumy, kremy o różnych właściwościach, pudry, maście o wielu zapachach i na różne dolegliwości oraz mnóstwo tego typu ciekawych rzeczy. Sporo pieniędzy kosztowała mnie reklama, ale dzięki temu mój towar był poszukiwany, chwalony i szybko znikał z półek sklepowych. Zatrudniałem cały sztab ludzi od reklamy: fotografów, najlepsze modelki, kosmetyczki. Miałem małe studio telewizyjne, gdzie nakręcano krótkie, reklamowe filmy i nadawałem je później na cały kraj.

– SPECYFIKS dobry na wszystko, kupuj tylko wyroby marki SPECYFIKS! To eliksir szczęścia, młodości, życia – mówił miły głos i z ekranu płynęła ładna melodia.

Miałem tyle pieniędzy, że nie wiedziałem co z nimi robić. Pięć milionów było na oficjalnym koncie w banku „Manhattan”. Dziesięć milionów na nieoficjalnym, a czołwie ile jeszcze na trzech tajnych kontaktach szwajcarskich. Mimo to moje dochody stale rosły. Moje konie wygrywały główne nagrody na międzynarodowych wyścigach. Kasyno, hotel przynosiły zyski, firma komputerowa rozbudowana do dużych zakładów konkurowała z japońskimi wyrobami, jak na razie skutecznie, no i SPECYFIKS zarzucał mnie falą pieniędzy. Topiłem się w banknotach. Często śniło mi się nawet, że pływam w basenie na Florydzie, ale nie w wodzie, lecz w studolarówkach! Na dodatek przyszedł jeszcze mi do głowy pomysł produkcji superkremu, może maści. Sztab specjalistów wymyślił świetną recepturę, ja poddałem myśl błękitnego opakowania. Po trzech miesiącach setki tysięcy błękitnych, małych pudełeczek z supermaścią dobrą na wszystkie

dolegliwości wędrowało do rąk ludzi w całych Stanach, a może i dalej. Przyniosło mi to początkowo dwa miliony dolarów, ale suma rosła, bo umiejętna reklama o cudownych właściwościach nowego produktu rzeczywiście czyniła cuda.

Po wyprodukowaniu „błękitnej maści” stale byłem oblegany przez dziennikarzy. Telewizja kręciła ze mną filmy, wywiady dla prasy reklamowały moje nazwisko. Posiedzenia z naukowcami, pogadanki w przyjacielskim gronie. Nocami bankiety, przyjęcia. Na weekendy leciałem własnym samolotem na Florydę, bądź do Peru, gdzie niedawno mój pełnomocnik zakupił dla mnie kawał plaży wraz ze skalistym wybrzeżem i domem byłego prezydenta. Widać dopadł go krach finansowy skoro sprzedał taką piękną posiadłość!

Pewnego wieczora siedziałem w miękkim fotelu w supernowoczesnej willi. W telewizji nadawano moją reklamę najnowszego produktu, popijałem whisky z lodem i kroplami winogronowymi (to ostatnie to też wyrób SPECIFIKS-u). Zanurzyłem rękę do kieszeni jakiejś starej marynarki wiszącej nie wiadomo dlaczego na oparciu fotela i wyciągnąłem pudełeczko z „błękitną maścią”.

– O! Skąd się to tutaj wzięło? – powiedziałem na głos. Następnie bez zastanowienia otworzyłem wieczko i posmarowałem swoje skronie przezroczystą substancją o cudownych właściwościach. Za chwilę wszystko wokół pociemniało, ściany pokoju zaczęły się niesłychanie kurczyć, walić na mnie! Leciałem gdzieś w nicość, spadałem czy wirowałem, sam nie wiem.

– „Błękitna maść” czyni cuda, „błękitna maść” pozwoli wam przenieść się w inny świat! – słyszałem jeszcze zanikający coraz bardziej głos reklamy telewizyjnej.

W ciemnościach przed oczami błękitnym światłem mrugało do mnie niewielkie pudełeczko, w którego dnie zobaczyłem jeszcze napis: „do tyłu”.

Był gorący dzień czerwcowy, a ja siedziałem jakiś skulony na dużym targowisku. Wokół gwar ludzi narastał, migały kolorowe ubrania i towary na straganach. Byłem starcem! Tak, niewątpliwie byłem niesamowitym, starym człowiekiem. Mój wygląd odstraszał, ale moje oczy badawczo i zjadliwie wpatrywały się w twarz młodego człowieka, który z ciekawości przykucał naprzeciw

mnie. Moje ręce szybko otworzyły starą, skórzaną walizeczkę, która zawierała mnóstwo flakoników z różnymi proszkami, buteleczek z płynami, a w rogu stertę błękitnych pudełeczek.

– To są cuda! Elixiry szczęścia, młodości, życia – skrzeczałem z niepohamowaną ironią zachwalając swój towar.

– Dla pana to będzie dobre – wskazałem na pudełeczka. – Proszę sobie wybrać, za dwa biorę taniej – byłem zjadliwy mimo woli.

Kiedy młody człowiek zanurzył rękę w stertę z pudełkami ciągnąłem dalej:

– To los, to loteria szczęścia, za dwa taniej!

Człowiek ów popatrzył na mnie jakoś dziwnie, lecz wyciągnął dwa pudełka, zapłacił dwa dolary i odszedł. Siedziałem tak długo, chyba kilka godzin, nie mogąc się otrząsnąć ze wszystkiego. „– Jak to, dlaczego? Gdzie zniknął mój świat?” – pytałem sam siebie.

– Nie! – krzyknąłem, zrywając się nagle na nogi – Nie jestem starcem! Nie! Jestem młodym milionerem, mam własny samolot, mam dom na Florydzie, jestem szczęśliwy. Mam kobiety i mnóstwo pieniędzy, jestem sławny, szczęśliwy businessman! – krzyczałem ile sił, ale mój głos był skrzekotliwy i nikomu niepotrzebny.

W pustce dookoła i zapadającym zmierzchu miotalem się zrozpaczony, wołając bezmyślnie chyba sam do siebie:

– Nie jestem stary, ale jestem biedny! To nieprawda. Nieprawdaaa...

Uderzałem czołem i pięściami o ziemię jak bezradne i bezbronne stworzenie w szponach czarcich mocy. Wyłem jak szakal dusząc się własnymi łzami, za przeszłością, a przeciwko beznadziejnej chwili obecnej. Rzuciałem się tak długo, aż poczułem lekką miękkość pod sobą. Ocknąłem się.

Leżałem na łóżku bijąc pięściami w poduszkę mokrą od łez. Byłem spocony, serce łomotało, krzyczałem co sił w głosie:

– Nie jestem stary! Nie jestem biedny!

Nieprzytomny spojrzałem wkoło. Była to niewątpliwie moja klitka na Besson Street. Przez okno wpadały poranne, lecz już ostre promienie słońca. Elektroniczny datownik mrugał do mnie zjadliwie, wskazując trzeci czerwca. Zapowiadał się niezwykle upalny dzień...